

Wspomnienie o wychowawczyni - profesor Wandzie Gorgoniowej.

PEDAGOG I DAMA Z ASNYKA

Przyszedłem do liceum Asnyka we wrześniu 1954 roku, ze szkoły podstawowej numer 13 mieszczącej się na ulicy Kordeckiego niedaleko Kościoła św. Gotarda na Rypinku. W podstawówce byłem prymusem, w Asnyku pierwsze wypracowanie z polskiego, u profesora Męczyńskiego, zaliczyłem ledwo na tróję, a na pierwszy okres zainkasowałem dwie dwójki - z matematyki i chemii. To był szok. Początku szkoły nie wspominam dobrze; mały, zalekziony, kulejący, wystawiałem w czasie przerw pod oknem tęskniąc do ostatniej lekcji i wyrwania się z tego domu zawodu i frustracji (wtedy to słowo jeszcze chyba nie istniało). Tak; zaczęło się od wielkiego zawiedzenia. Potem się poprawiało, ale powoli - jeszcze w dziewiątej klasie chciałem rzucić szkołę i pójść na praktykę do wuja kuśnierza. Na szczęście matka wybiła mi to z głowy.

Zacząłem naukę od VIIIb, pod ręką profesor Wandy Gorgoniowej, wychowawczyni, która w cztery lata później doprowadziła nas do matury i wkrótce odeszła na emeryturę. Była to dama starej daty - w dobrym tych słów znaczeniu. Uczyła już przed wojną, pochodziła ze Wschodu Polski i chyba z rodziny wojskowych. Głowy nie dam, że to wszystko prawda, ale takie zostały mi skojarzenia. Zawsze gustownie ubrana, przewaga kolorów szarych i szaro jasnych, żakiet, spódnica trzy czwarte, coś kolorowego pod szyją, apaszka, czasem bluzka z żabotem. Starannie upięte, bujne srebrne włosy, twarz poważna, raczej mądra niż urodziwa, naznaczona już wiekiem, oczy przenikliwe, bardzo głęboko osadzone. Te spoglądające z głębi oczy to był najbardziej charakterystyczny rys urody naszej wychowawczyni. Głos; jaki miała głos? Wydobywam zapisane w pamięci dźwięki z przed czterdziestu lat - tak, mówiła altem. Głębokim altem, lekko metalicznym, ale z nutą ciepła. Żyła samotnie, mieszkała w Alei Wolności, tuż przy sądach na pierwszym piętrze. Lubiała literaturę i teatr - bardzo ceniła Ejchlerównę i - może trochę mniej - Ninę Andrycz. Miała zwyczaj przesiadywać przy oknie i patrzeć na ulicę. Wiedziało się o tym, więc przechodząc obok jej okien należało zgasić papierosa. Nie dobrze też było spacerować pod nim zbyt późno z jakąś „jagiellonką”. Wobec czternastoletnich podrostków była „mamą” surową. Na

początku jej nie lubiliśmy i baliśmy się jej. Dostała ksywę „żandarm”, to mówiło wszystko. A jednak nie wszystko. W miarę jak płynął czas i podrostki zamieniały się w młodzianów pod wąsem między nami a nią ocieplało się, „żandarm” zniknął, okazało się, że był bardziej metodą niż charakterem. Pod koniec szkoły mówiło się o niej tylko „Wandzia”, czule, pieszczotliwie wręcz, choć to nigdy nie było kumplowanie, ale była bliskość. Kiedyśmy się rozstawali w roku 1958 zapewniała, że zapamięta naszą klasę, bo zamykaliśmy jej służbę w roli wychowawczyni, tak jak zapamiętała swoją pierwszą klasę, która życie zawodowe jej otworzyła. Uczyla rosyjskiego. Wiedziała, że niechętnie zabieramy się do tego języka, nie tyle z lenistwa, choć to też, ale również z „patriotycznego” oporu, oczywiście bez wyraźnie manifestowanych przekonań. Raczej z takiego ogólnie złego stosunku do Rosjan i wszystkiego, co rosyjskie. Była wymagająca, twarda w zadawaniu do domu i w odpytywaniu, wkuwaliśmy na pamięć całe długie strofy poezji, do dziś sporo pamiętam. Zostały mi po tym solidne podstawy rosyjskiego. Przydały się długo, długo później, w latach siedemdziesiątych. Gdy „czerwony” trzymał mnie na politycznym bezrobociu dorabiałem na życie tłumaczeniem książek rosyjskich ekonomistów – matematyków, a na emigracji korzystałem obficie z wyboru prasy rosyjskiej robionego w Radiostacji „Swoboda”. Dziś, gdy u progu emerytury zacząłem szperać za moimi przodkami po foliach akt metrykalnych, bardzo mi się mój rosyjski przydaje. Wszak od upadku powstania styczniowego 1863 roku metryki sporządzano tym języku.

W czasach, kiedy chodziłem do szkoły nauczyciele w Asnyku starannie unikali ujawniania opinii o otaczającej nas świeżo - postalinowskiej rzeczywistości, sprzecznych z oficjalnymi. Nie wykluczone zresztą, że niektórzy ją, z różnych powodów, uważali za swój świat. O części profesorów mówiono, że są z tak zwanego awansu społecznego. Znaczyło to, że dostali „polityczny” przydział do oświaty, wedle zasady, którą wtedy ujmowało powiedzenie; ”nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera”. Zachowałem w pamięci wspomnienia raczej wstrzemięźliwego stosunku ówczesnego dyrektora do wydarzeń październikowych 1956 roku, kiedy one dotarły pewnego szkolnego poranka do szkoły. Nie pamiętam więc ani jednego momentu, ani jednego wydarzenia, które by pokazywało, że ktoś z Ciała Pedagogicznego nie lubi „kumuny”, jak się mawiało z kaliska. Ani jednego za wyjątkiem pewnego faktu wiążącego się właśnie z naszą wychowawczynią. Nie mogę powiedzieć, czy miał on miejsce jeszcze przed październikowym przełomem,

czy już po nim. Ale nawet po październiku świadczył o dużej odwadze i także o zaufaniu do nas. Pamiętam, że to było dla mnie i chyba też dla klasy, wydarzenie, które spowodowało, że do pewnej bliskości, jaka w ciągu kilku lat się ukształtowała między nią a nami doszła jeszcze nuta konfidencji, powiedzmy tak, politycznej. Przy jakiejś okazji, może po wyjątkowym zawaleniu przez wychowanków klasówki z rosyjskiego, albo pracy domowej „Wandzia” powiedziała; „pamiętajcie, że trzeba znać język swoich wrogów, ale wiedzcie też, że Rosja ma wielką literaturę i także dla tej literatury warto znać język rosyjski”. Szkoda, że podobnego w nastroju przesłania - choć oczywiście innej treści - nie usłyszeliśmy nigdy z ust profesorki od polskiego. Przewlokła nas przez polską literaturę według zadanych z góry schematów, każąc w każdym utworze nie tyle szukać, co znaleźć „wartości ideowe, w tym ślady walki klasowej, obrazy ciężkiej doli chłopca oraz wyzysku robotnika ”. Literatura polska jawiła mi się przez to, jako przedkomunistyczne monstrum, które już od kilku wieków przewidywało zwycięstwo ciemzonego chłopstwa i proletariatu oraz najlepszy ustrój do końca dziejów z Polską Zjednoczoną Partia Robotniczą na czele. Nic tak mnie nie odrzucało, jak lektury obowiązkowe, których połowy nie przeczytałem, ani wtedy, ani później i o mało przez to nie oblałem matury. A język naszych - może wreszcie już wczorajszych - wrogów znam, dzięki „Wandzi” zwanej początkowo „Żandarmem”. Jeszcze przez kilka lat po skończeniu szkoły odwiedzałem ją przyczepiony do kilku kolegów, którzy należeli do elity klasowej. Przyjmowała nas w swoim mieszkaniu nad Aleją Wolności herbatą i ciasteczkami. Potem wizyty ustały, a potem już nie było damy starszej daty, która mnie, niepozornego ucznia „jedenastej B” pewno szybko zapomniała, ale ja ją dobrze pamiętam i wspominam.

Waldemar Kuczyński.

(Kalisia Nowa - 7.8.9/2004 r. s.8)